NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 123·50 Marek, Półrocznie 247·— Mk. Rocznie 494·— Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 2·80, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 4 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódź, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 10 Marek.**

Rok XVII. Kraków, 11. grudnia 1920. Nr 50.

Olbrzymia kontrabanda bolszewickiego złota



Żołnierze polscy w Baranowiczach zatrzymują wóz naładowany gnojem, pod którym były ukryte sztaby złota wartości kilkuset milionów marek.

Olbrzymia kontrabanda bolszewickiego złota.

(Do illustracyi tytułowej).

O rosyjskiem złocie krążą po świecie najrozmaitsze legendy, nie pozbawione przecież pewnej dozy prawdy. Pod względem produkcyi złota stoi Rosya na pierwszem miejscu, a i jej obecny rząd, choć „proletaryacki“ umie ocenić wartość tego szlachetnego kruszcu, wiedząc o tem, że osioł, obładowany złotem, potrafi przezwyciężyć wielkie przeszkody i trafi zawsze do celu. Na ową złotą wędkę idą nawet bardzo grube ryby, jak to widzimy ze stosunku, jaki panuje stale między Anglią a Rosyą. Lloydowi George'owi rosyjskie złoto i surowce spać nie dają, ciągle dręczy go troska, że ktoś inny może ubiedz Anglię, a niczem tak łatwo, jak złotem, wpłynąć na zmianę najtwardszych nawet przekonań.

Wiedzą o tem dobrze i bolszewicy i, choć wypowiedzieli walkę na śmierć i życie kapitalizmowi, nie żałują bynajmniej złota, jeśli idzie o propagandę haseł, oraz zapewnienia sobie pomocy u tej Europy, która z pogardą odwraca się od przewrotowych zasad bolszewii, ale bardzo pożądliwem okiem spogląda na bolszewickie złoto i rada byłaby zagarnąć go jak najwięcej. Wespazyanowskie *pecunia non olet*, powtarza się też w obecnych czasach w całej swej ohydzie. Na Zachód jadą transporty rosyjskiego złota, działając bardzo skutecznie na usunięcie wszelkich skrupułów i torując pomost dla dalszego pochodu bolszewii.

Pozatem prowodyrowie obecnego ruchu w Rosyi pamiętają też i o swej przyszłości i rosyjskie złoto wywożą za granicę i lokują po różnych bankach na swój rachunek, aby mieć czem otrzeć łzy żalu, gdy zawistny los wytrąci im z dłoni berło, które zdają się dzierżyć tak silnie.

Rosyjskie złoto przedostaje się przez granicę państwa w sposób jasny, ale też i pokryjomu i to w ilościach, które zamienione na gotówkę, mogą niejednego przyprawić o zawrót głowy.

Niedawno udało się naszym żołnierzom, patrolującym na granicy polsko-rosyjskiej w okolicy Baranowicz, przytrzymać podobny transport, wartości podobno kilkuset milionów marek.

Przez granicę przejeżdżała fura gnoju, eskortowana przez jakiegoś żyda. Żołnierzom nasunęły się jakieś wątpliwości, przeprowadzili więc rewizyę i ku swemu wielkiemu zdziwieniu, znaleźli pod gnojem ukryte sztaby złota. Eskortujący żyd chciał ich przekupić kwotą dziesięć tysięcy marek, co mu się nie udało. Zapas cały skonfiskowano, stanowić on będzie silne wzmocnienie rezerwy kruszcowej dla naszej waluty, co niezawodnie wpłynie dodatnio na podniesienie się jej wartości.



Otwarcie Teatru polskiego w Toruniu: Fr. Frączkowski, b. reżyser sceny lwowskiej, dyrektor nowego Teatru, głównie zasłużony około powołania go do życia. (Fot. M. Fuks, Warszawa).

W myśl odnośnych przepisów, żołnierzom owym należy się ze skarbu państwa wynagrodzenie, każdemu po kilka milionów marek.

Złoto to miało być skierowane do Gdańska, a stamtąd drogą morską dalej na Zachód.

Otwarcie Teatru polskiego w Toruniu.

Kresy pomorskie obchodziły w dniu 28 listopada b. r. uroczyste święto narodowe. W dniu tym otwarto w Toruniu, który miał dla Niemców stanowić punkt wyjścia w ich zaborczym pochodzie na Wschód, Teatr polski. Nowa świątynia sztuki, a zarazem placówka narodowa, przyczyni się niewątpliwie w wydatnej mierze do naprawienia tych szkód, jakie nam Niemcy przez szereg lat wyrządzić się starali. Żywe polskie słowo, padające ze sceny, wzbudzi i podtrzyma ducha narodowego, przypomni słuchaczom ich obowiązki, jakie mają wobec swego kraju i zjednoczy duchowo z resztą mieszkańców tej ziemi, rozdartej przed laty tak brutalnie przez wrogów.

Otwarcie Teatru polskiego w Toruniu uważać się też musi za punkt bardzo ważny w rozwoju naszego życia na kresach. Świątynia Sztuki polskiej stanie się też i świątynią ducha polskiego, gdzie słuchacze znajdą pokrzepienie, otuchę i siły do ciężkich walk, czekających ich jeszcze w przyszłości. Teatr nie tylko bawi, ale i uczy, Teatr toruński ma zatem przed sobą bardzo wdzięczne pole działania, jest bowiem pierwszym teatrem polskim w tem mieście, uważanem i traktowanem przez Niemców, a za nimi i przez świat cały, za niemieckie.

Otwarcie tej placówki narodowej na kresach pomorskich wita też z radością cała Polska, życząc jej z całego serca jak najświetniejszego rozwoju.

Inicyatorom powstania Teatru polskiego w Toruniu należy się szczera wdzięczność i uznanie za powzięcie i przeprowadzenie tej pięknej myśli, niemniej też i wszystkim tym czynnikom, które przyczyniły się do jej zrealizowania. Zgodną rękę w tym kierunku podały sobie miejscowe czynniki, narodowo wysoko uświadomione, i rząd centralny, który



Otwarcie Teatru polskiego w Toruniu: Wnętrze Teatru podczas uroczystej akademii w dniu otwarcia. W loży po lewej stronie premier Witos, minister Wróblewski i wojewoda Brejski w chwili odśpiewywania „Roty“. (Fot. M. Fuks, Warszawa).

nie odmówił swojej pomocy, uznając ważność i znaczenie tej przyszłej ostoi życia narodowego i kulturalnego na Pomorzu.

Na uroczystość otwarcia zaproszono całą Polskę, rozsyłając po kraju artystycznie wykonane zaproszenia następującej treści:



Otwarcie Teatru polskiego w Toruniu: Gmach Teatru. (Fot. M. Fuks, Warszawa).

Za wolą Bożą i przez narodu krew przelaną, polskie Ziemia Pomorska wrócona ojczyźnie po złamanym gwałcie niewoli, otwiera w Toruniu dnia 28 listopada 1920 r. Teatr Narodowy na Pomorzu rozpoczęty w południe Akademią teatralną, a wieczorem o godz. 7 przedstawieniem komedyi A. Fredry „Zemsta za mur graniczny", na który to obchód uroczysty zapraszają wojewoda pomorski i prezydent miasta Torunia.

Na uroczystość otwarcia przybyło spore grono wybitnych przedstawicieli świata artystycznego, literackiego i politycznego ze wszystkich dzielnic Polski. Między innymi przybył prezydent ministrów Witos, podsekretarz stanu dr Wróblewski z posłami Brylem i Rączkowskim, przybył również p. Gorczyński z Warszawy. Na ręce dyrektora teatru nadesłano kilkadziesiąt telegramów gratulacyjnych, a mianowicie od marszałka sejmu, dyrektora teatru powszechnego w Warszawie, akademii umiejętności w Krakowie, od wojewody lubelskiego, płockiego itd.

Uroczystość odbyła się nabożeństwem w kościele św. Jana o godz. 12^{30}, przyczem wygłoszono okolicznościowe kazanie. Następnie w gmachu teatru odbyła się akademia, na której program złożyły się przemówienia inauguracyjne i deklamacye, wreszcie miejscowa „Lutnia" odśpiewała „Rotę" Konopnickiej. Okolicznościowe przemówienie między innymi wygłosił burmistrz miasta dr Zieliński i w imieniu miasta oddał teatr na usługi państwa. Następnie przemawiał wojewoda Brejski, który skreślił historyę walk Pomorza i całej Polski o wolność, oraz zaznaczył potrzebę otwarcia teatru narodowego w Toruniu. Dziękował również obecnemu prezydentowi ministrów za przyczynienie się w znacznej mierze do powstania tej placówki narodowej. Przemówienie zakończył wojewoda okrzykiem na cześć naczelnego Wodza i Naczelnika Państwa i na cześć premiera. Wieczorem odbyło się inauguracyjne przedstawienie; odegrano „Zemstę" Fredry.

Likwidacya rządu południowo-rosyjskiego.

Przewidywania nasze, wyrażone przed kilku tygodniami, z okazyi omawiania sytuacyi na południowym rosyjskim froncie, spełniły się w zupełności i to nawet wcześniej, niż się tego można było spodziewać. Armia jenerała Wrangla już nie istnieje, rząd południowo-rosyjski uległ likwidacyi, Krym dostał się w ręce bolszewików. Trocki tryumfuje, gdyż w krótkim stosunkowo czasie i bez zbytnich wysiłków udało mu się pokonać dwu groźnych wrogów. Wrangla i Petlurę.



Likwidacya rządu południowo-rosyjskiego: Jen. Wrangel podług zdjęcia wykonanego podczas obecnego jego pobytu w Konstantynopolu.

Przyczyniło się do tego w znacznej mierze zawarcie przez Rosyę rozejmu z Polską, co dozwoliło jej rzucić na front południowy znaczne siły.

Wrangel do ostatniej chwili stawiał bardzo dzielny opór, nie mógł przecież podołać liczebnej przewadze nieprzyjaciela. Naprzeciw jego pięciu zale-



Otwarcie Teatru polskiego w Toruniu: Grupa artystów i artystek Teatru toruńskiego. (Fot. M. Fuks, Warszawa).



Otwarcie Teatru polskiego w Toruniu: Przybycie premiera Witosa w towarzystwie ministra Wróblewskiego na uroczystość otwarcia. Obok stoją wojewoda pomorski Brejski, wicedyrektor Hryniewicz i dyr. Frączkowski. (Fot. M. Fuks, Warszawa).

dwie dywizyi, znalazło się dwadzieścia pięć dywizyi sowieckich, ściągniętych pospiesznie z zachodniego frontu. Ustępował krok za krokiem, odgryzając się jak wilk. Widząc, że dalszy opór prowadzi do niepotrzebnego rozlewu krwi i zniszczenia kraju, rozwiązał swą armię, część zapasów wojennych zniszczył, sam schronił się na okręt i odpłynął do Konstantynopola, gdzie obecnie wraz z swym byłym rządem i niedobitkami swej armii przebywa, czekając sposobnej chwili do podjęcia napowrót kroków nieprzyjacielskich przeciw sowieckiej Rosyi, z których bynajmniej, pomimo chwilowego niepowodzenia, nie zrezygnował. Jest najlepszej myśli, że mu się powiedzie przedsięwzięcie, tego zdania jest i szef jego rządu Kriwoszein.

W niniejszym numerze podajemy podobiznę bohaterskiego obrońcy południowej Rosyi i nieprzebłaganego wroga bolszewików. Nie należy wątpić, że rząd Lenina i Trockiego będzie miał, dzięki niemu, niejeden jeszcze twardy orzech do zgryzienia.

Podpisanie traktatu włosko-słoweńskiego.

Już za czasów austryackich toczyła się na całem wschodniem wybrzeżu morza Adryackiego zaciekła walka narodowościowa między Włochami a Słoweńcami, stanowiącymi tutaj ogromną większość. Stosunki, jakie tutaj panują, przypominają bardzo Sądecki Górny, gdzie Niemcy rozsiedli się po miastach i centrach przemysłowych i z tego powodu uważają ten kraj za niemiecki. Od wieków Włosi dążyli do opanowania wybrzeży Adryatyku i już republika wenecka ogłosiła się jego królową.

Ludność słoweńska cierpiała wiele na całem Pobrzeżu, w Istryi i Dalmacyi od narodowościowego ucisku włoskiego, któremu rząd austryacki, w myśl swej dewizy *„divide et impera"*, ułatwiającej mu władanie nad tym krajem, bynajmniej nie przeszkadzał.

Po wybuchu wojny światowej i rozpadnięciu się byłej habsburskiej monarchii, antagonizm włosko-słoweński zaostrzył się jeszcze bardziej i łatwo mógł doprowadzić do konfliktu między Włochami a Jugosławią, która tymczasem stała się samodzielnem państwem. Do wszystkich ważniejszych punktów na wschodniem wybrzeżu Adryi rościli sobie prawo Włosi, także i do wysp dalmatyńskich, zamieszkałych wyłącznie przez ludność pochodzenia słowiańskiego. W sporach tych interweniował Wilson, zabierała głos niejednokrotnie Rada Najwyższa i Rada ambasadorów, nacyonaliści włoscy nie chcieli ani słyszeć o jakichkolwiek ustępstwach na rzecz Jugosławii, choć słuszność była po jej stronie, przysparzając w ten sposób wiele dyplomatycznych kłopotów swojemu rządowi. Zwłaszcza d'Annunzio odegrał w tym kierunku ważną rolę. Jego republika fiumańska, a w ostatnich czasach dalsze zaborcze przedsięwzięcia zdawały się stanowić powód niechybnego wybuchu wojny między obu państwami, której Włochy, znękane wewnętrznymi kłopotami, bynajmniej nie pragną.

Ostatecznie doszło przecież do porozumienia. Sąsiedzi poczynili sobie pewne terytoryalne ustępstwa, a odnośny traktat podpisano w listopadzie w Rapallo.

Czy jednak zgoda i spokój nad Adryatykiem zapanują na czas dłuższy, a może nawet na stałe, to zależy od pana d'Annunzio i jemu podobnych, których zaborczość nie ma granic...



Otwarcie Teatru polskiego w Toruniu: Omawianie inauguracyjnego przedstawienia przez krytyków i wykonawczynie. Od lewej ku prawej stoją: Dyr. Frączkowski, Zofia Szumańska (Klara z „Zemsty"), dyr. Gorczyński, Ida Michorowska (Podstolina) i Kończyc. (Fot. M. Fuks, Warszawa).



Podpisanie traktatu włosko-słoweńsk.: Włosy i jugosł. ucz. konfer. w Rapallo, w chwili składania podp. przez Giolittiego

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA

MARYA TOCZYSKA

21

I.

— Ważne są dla was, nie dla mnie.

— Dla ciebie także Rachelo. Ty wiesz, że cię kocham.

— Tak mówicie?

— Bo tak jest. Dlaczego mi nie wierzysz?

— Bo nie jesteś zdolnym do miłości, Markusie. Jesteś człowiekiem bez serca.

— Co ci nadaje prawo mówić w ten sposób? Dlaczego osądzasz tak źle, człowieka, którego nie znasz, a który cię uwielbia. Dlaczego jesteś tak niesprawiedliwą wobec mnie?

— Markusie Henner, czy nie masz mi nic innego do powiedzenia — zapytała dumnie młoda dziewczyna, która drżała z obrzydzenia na każde słowo miłości, wychodzące z ust swojego dręczyciela.

— Tak, uwielbiam cię, Rachelo i chcę, żebyś należała do mnie — oświadczył mistrz stanowczo i w oczach jego zapaliły się dzikie błyski namiętności i energii.

— To się nigdy nie stanie — wyrzekła twardo.

— To stać się musi.

— Nigdy — powtórzyła Rachela z uporem.

— Kto będzie mógł oprzeć się Markusowi Henner, mistrzowi?

— Ja! — odparła młoda dziewczyna wyzywająco.

— Zwalczę twoją wolę.

— Nie zwalczysz jej.

— A więc ja złamię, zniszczę!

— Złamiesz moje życie, ale nie moją wolę.

— Wolałabyś więc śmierć?

— Tak, po stokroć śmierć! a nie ciebie Markusie!

Blade dłonie mistrza zacisnęły się kurczowo na poręczy fotela i twarz jego zadrgała nerwowo.

— Zakochałaś się w tym Ranierim Lambertinim!

— Nie wymawiaj tego imienia — krzyknęła ostro Rachela.

— Dlaczego?

— Bo usta twoje kalają go — odparła z wyrazem najwyższej pogardy.

— Zmusisz mnie do zamordowania tego człowieka, Rachelo — wymówił z trudem przez zaciśnięte zęby Henner.

— On nie umrze! — zawołała tryumfalnie!

— Umrze, Rachelo, umrze! On umrzeć musi — upierał się z wściekłością mistrz.

— Jest coś, co go obroni.

— Co takiego?

— Moja miłość! Bo moja miłość jest talizmanem dla niego — dodała tajemniczo.

Garbus poruszył się niespokojnie we fotelu, zielone jego oczy rzucały płomienne błyskawice.

— On cię nie kocha; porzuci cię i wtedy zostaniesz moją — zaśmiał się drwiąco.

— On mnie kocha i należeć będę tylko do niego!

— A jeżeli porzuci cię? zdradzi? jeżeli umrze!?

— Wówczas poszukam innego oblubieńca, jeszcze pewniejszego i lepszego — szepnęła zagadkowo.

— Co ty mówisz, Rachelo! — wykrzyknął Markus Henner unosząc się poraz pierwszy.

— Nie!

— Mówiłaś o innym!

— Nie. Ranieri Lambertini jest moim narzeczonym!

— On cię nigdy nie zaślubi! Jego Bóg nie jest twoim Bogiem; ty należysz do gminu, nie masz własnej narodowości i kraju. On jest bogaty, z szlacheckiej rodziny, posiada pałace.

— Co z tego? Ranieri Lambertini będzie moim mężem!

— Ja zaś — ciągnął dalej gorączkowo Markus Henner — uznaję twojego Boga. On mi odkrył tajemnice, nieznane innym. Znam prawdę życia, znam zagadki potęgi, wielkości i bogactwa! Niema rzeczy ukrytej dla mnie i nieznanej. Mogę cię uczynić wielką, sławną, budzącą poszanowanie i podziw!

— Nie chcę tego!

— Jestem człowiekiem uczonym i tym silniejszym, że jeszcze nieznanym nikomu. Odkryłem tajemnicę odgadywania myśli ludzkich i kierowania ich wolą. Jestem wybranym przez Boga, Rachelo! — kończył Markus dumnie i groźnie!

— Bluźnisz! — zawołała, drżąc całem ciałem i zakryła twarz rękami.

Z kąta pokoju dobiegło głębokie westchnienie Mojżesza Kabiba.

— Będziesz towarzyszką mojej potęgi i chwały — podjął po chwili Markus, unosząc się coraz bardziej. Ty będziesz królową tam, gdzie ja będę królem. Nadejdzie niedługo czas, w którym dzieci Izraela zapanują nad swoimi nie-



Przeklęta! przeklęta! przeklęta! — wyszeptał po trzykroć Mojżesz Kabib, zataczając się, jak pijany.

przyjaciółmi. Posiadamy złoto, siłę i wiedzę. Chrześcianie do nas należeć będą.

— Nie rzucaj obelgi na ten naród, którego nie znasz — wyrzekła poważnie Rachela.

— Co ty mówisz?!

— Mówię, że chrześcianie więcej warci są od nas, od ciebie Markusie, który jesteś zuchwałym burzycielem — wybuchnęła młoda dziewczyna, zatracając zimną krew.

Markus Henner rzucił groźnie spojrzenie w stronę Mojżesza Kabiba. Tenże zadrżał pod tym wzrokiem i rzekł pokornie do córki.

— Szanuj go Rachelo, szanuj go! On jest naszym panem i mistrzem!

— On uzurpuje sobie święte imię — odparła zdecydowanie — rzucić wszystko na ostatnią kartę.

— Co? coś ty powiedziała!? — zawołali równocześnie obydwaj mężczyźni.

— Tak, on przywłaszcza sobie to imię — powtórzyła z mocą. — Imię mistrza noszone było dotąd tylko przez jedną istotę i nikt więcej nie ośmieli się je nosić!

Rachela blada była śmiertelnie, wymawiając te słowa, głos jej stłumiony jak jęk rozpaczy wybiegł z jej piersi.

— Ty mówisz o Jezusie! ty mówisz o Jezusie — zawołał stary Mojżesz, przyskakując do niej z podniesioną ręką.

— Tak — oświadczyła spokojnie, nie drgnąwszy nawet.

Markus Henner powstał również. Ułomność jego teraz zdawała się wzrastać, wydawał się więcej garbatym i pokręconym niż przed chwilą. Wyraz strasznej, bezsilnej nienawiści skurczył jego wstrętną twarz.

— Ty chcesz się stać chrześcianką... nieprawdaż? — zasyczał przez zaciśnięte zęby.

Tak — odpowiedziała odważnie młoda dziewczyna.

— Przeklęta! przeklęta! przeklęta! — wyszeptał po trzykroć Mojżesz Kabib, zataczając się jak pijany.

— Chcę zostać chrześcianką ojcze — powtórzyła młoda dziewczyna, spuszczając oczy, aby nie widzieć bólu ojca.

— Umrzesz... przedtem...

— Ale umrę chrześcianką!

— To on! to ten przeklęty Lambertini pcha cię do tego! Namawia do porzucenia Boga ojców swoich? — zapytał Markus drżącym od gniewu głosem.

— Bóg sam objawił mi swoją wolę — rzekła Rachela, składając ręce z natchnionym wyrazem twarzy.

— Szaleństwo! szaleństwo! — krzyknął Henner.

— Ojciec ci tego wzbrania!... słyszysz! wzbrania ci popełnić tę hańbę — zawołał stary Mojżesz.

— Tak. Lecz matka moja doradza mi to uczynić!

— Matka twoja!? Matka! — szepnął starzec, patrząc z ukosa na Markusa.

Ten spuścił oczy i nie wyrzekł ani słowa.

— Matka moja nakazała mi stać się chrześcianką, aby ochronić się przed tym człowiekiem — wyrzekła Rachelę, wskazując ręką Markusa.

— Matka twoja nie żyje!

— Nie wierzę w to — odparła młoda dziewczyna z mocą.

— Ona nie żyje! ona nie żyje!

— Ona mi się objawiła we śnie... i mówiła do mnie — szepnęła cicho Rachela.

— Mówiła do ciebie!?

— Jednej nocy ujrzałam ją przy mojem łóżku — mówić zaczęła młoda dziewczyna monotonnym, powolnym głosem, jakgdyby mówiła do siebie samej. Widzę ją często!

— Iluzye! szalone iluzye! — wymówił z widocznem drżeniem Markus Henner.

— Widuję ją często. Jest wysoka, od stóp do głowy ubrana biało, twarz ma jeszcze świeżą i młodą, duże, czarne oczy, smutne i dumne...

Młoda dziewczyna zdawała się mówić jak we śnie. Obydwaj mężczyźni patrzeli na siebie z przerażeniem.

— Tak, ona niekiedy mówi do mnie, głos jej jest czysty, łagodny, porywający. Mówi do mnie słowami dobremi i ciepłemi. Słucham jej i modlę się podczas snu, aby trwał jaknajdłużej.

Markus Henner pochylił się nisko i ukrył twarz w dłoniach.

— Oh! ten głos! ten głos! — podjęła znowu Rachela, wznosząc oczy do góry, w gorączkowej ekstazie, w której zdawało się, że zapomina o wszystkiem, co jest ziemskie. Płynie on do mojej duszy jak pieśń czarowna. Rok temu Markusie Henner przybyłeś poraz pierwszy do tego domu. Widziałam cię już dwukrotnie w synagodze, w godzinie modlitwy... i przejąłeś mnie od razu wstrętem i przerażeniem. Potem przyszedłeś tutaj i ośmieliłeś się mi mówić o miłości, ty! ty! Udałam się pod opiekę ojca! On mnie kocha, ale podlega wpływowi, jaki na nim wywierasz i gotów jest mnie poświęcić tobie, w imię czegoś mi nieznanego! A więc tej nocy modliłam się długo i zasypiając po modlitwie, ujrzałam przy swojem łóżku matkę moją... całą w bieli... Pochyliła się nademną, szepcząc: „Wierz w Chrystusa", poczem znikła...

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

24

I.

Stasia spojrzała na niego i natychmiast poznała, że obawy jej były całkiem bezpodstawne.

Z twarzy młodego Kuźmy biła żywa radość i zadowolenie. Rozumne jego oczy spoczęły z wyrazem cichego uwielbienia i miłości na Stasi.

— Panno Stasiu — wymówił głębokim głosem, — co za dobra niespodzianka! Sprawiła mi pani takie dobrodziejstwo przychodząc tutaj. Tak już tęskniłem — dodał cicho, siadając przy niej i ujmując jej rękę.

— Schowaj czułości na później — wmięszała się Felka. — Stasia niech teraz mówi, co się stało!?

— Albo co się stało naprawdę? — zapytał Franek zmieszanym głosem.

Stasi to serdeczne przyjęcie dodało otuchy i energii. Na bladą jej twarz wystąpiły lekkie rumieńce. Już teraz nie lękała się zupełnie! Czuła, że na tych dwoje liczyć może w najgorszej godzinie życia. Z ufnością położyła rękę na dłoni Franka, mówiąc:

— Chcą mnie wydać za mąż!

— Wydać za mąż! — padło gwałtownie z ust brata i siostry.

— Tak, — mówiła dalej Stasia, ożywiając się. — Wczoraj ten okropny Markiewicz rozmówił się z rodzicami.

— Jaki Markiewicz? — zapytała z wymówką Felka. — Przecież ty mi o tem nic nie mówiłaś?

— Bo nie wiedziałam, że to się stanie tak prędko. Od jakiegoś czasu bywać zaczął, no i wczoraj... wczoraj.. Ale ja za niego nigdy nie pójdę — wybuchnęła Stasia. — Nigdy! I przyszłam wam to powiedzieć i poradzić się co mam robić. Rodzice ani na chwilę nie przypuszczają, że się opierać będę. Próbowałam nawet wytłómaczyć im, ale nie dali mi nawet słowa powiedzieć... więc zmilkłam, ale swoje zrobię...

— Co to za człowiek? — zapytał Franek, w którym i ból i zazdrość zagrały jednocześnie.

— Ah! nie mówmy o nim — żachnęła się Stasia. — Nie wart nawet tego! Ale doprawdy, ja nawet nie wiem, co robić? Wiecie już pewnie, że Kazia zaręczona z hrabią Guciem?

— Tak, mówiłaś mi o tem już dawniej — odparła Felka. — Wyobrażam sobie, co się u was dzieje w domu?

— Teraz, to mnie męczą, spokoju ani na chwilę nie dadzą, muszę ciągle się czesać, wychodzić z mamą i Kazią, słuchać głupich dowcipów tych panów. Oh! jakże ja się brzydzę tymi ludźmi, całym tym światem, w którym mi żyć każą!

— Opuściłaś nawet kilka razy szkołę, myślałam, że jesteś chora?

— Już mi i nauki kończyć nie dają. Mówią, że teraz, skoro za mąż wychodzę, to mi już to jest niepotrzebne. Radź Felka, radź, co robić? Głowę już tracę!

— A kiedyż ma być ten ślub? Może się jeszcze odwlecze, rodzice się rozmyślą...

— Na to liczyć nie mogę. Teraz, za dwa tygodnie, mamy wszyscy jechać do Zakopanego, a jak wrócimy we wrześniu, odbyć się ma ślub Kazi i mój.

— Ah! przekleństwo! — jęknął rozpaczliwie Franek, ukrywając twarz w dłoniach. — Stasiu! — odezwał się po chwili, podnosząc na nią oczy, w których paliło się niezłomne postanowienie. — Mówmy otwarcie, bo chwila jest ważna. Czy kochasz mnie na tyle, aby mi zawierzyć zupełnie!?

— Tak! — odparła z mocą Stasia. — Uczynię wszystko, co zechcesz Franku.

— Ale tylko czy wytrwasz? Czy przeciwności i warunki nie wpłyną na ciebie, nie osłabią twojej woli? Bo wiedz, że czeka nas jeszcze wiele lat szamotania i walki. Zniechęcić się możesz, pokusy w świecie, w którym teraz żyjesz, mogą się okazać niebezpieczne. Przyjść może chwila, że i ty zapragniesz spokoju i wygodnego życia.

— Dlaczego mi to mówisz Franku?

— Rodzice zmusić cię nie mogą. Jeżeli potrafisz im się oprzeć i doczekać lat pełnoletności, własna tylko twoja wola stanowić będzie o twojem szczęściu! Ale nie! nie! to niemożliwe! — szepnął ze zniechęceniem. — Ja nie mam prawa wymagać takiej ofiary od ciebie! Bo cóż ci ja w przyszłości dać mogę! Po latach twojej męki i ciągłego niepokoju. Zapewnienie cichego, skromnego szczęścia przy moim boku i kto wie, czy to, co ja dziś nazywam szczęściem, po latach tych nie stanie się dla ciebie tylko przykrą koniecznością.

— Franku, — wymówiła z wyrzutem Stasia. — Chcesz, bym wierzyła w ciebie, a sam do mnie ufności nie masz. Chyba, że ty sam... że ty, nie czujesz na tyle sił w sobie... do przetrwania...

Głos się jej załamał, ale już Franek trzymał ją w objęciach, gorącymi pocałunkami okrywając jej twarz i włosy.

— Cicho maleńka, cicho — szeptał pieszczotliwie. — Z takiem zapewnieniem i sto lat czekać na ciebie będę. Jeszcze przed nami długie lata szczęścia i spokoju. Tacy młodzi przecież oboje jesteśmy.

— Bardzo to wszystko piękne i rozczulające — odezwała się ze zwykłą sobie żywością Felka — ale mnie się to długie czekanie nie podoba. Zanim się pobierzecie, to wyschniecie oboje z miłości jak wióry.

— Więc daj inną radę — uśmiechnął się Franek, patrząc życzliwie na siostrę.

Felka zamyśliła się i rzekła po chwili.

— Stasia, ty masz przecie wuja, takiego zacnego człowieka. Tyle razy opowiadałaś mi o jego dobroci i przywiązaniu jego do ciebie. Może by on wmięszał się w tę sprawę i wpłynął na rodziców twoich...

— Wuj Janek nie pokazał się u nas, odkąd zostaliśmy bogaci — szepnęła smutnie Stasia. — Ostatni raz, kiedy go widziałam, było to jeszcze na ulicy Felicyanek, wyszedł z naszego domu rozgniewany i więcej nie powrócił.

— Gdybyś jednak spróbowała widzieć się z nim — nalegała Felka. — Do ciebie na pewno żadnej urazy mieć nie może.

— Tak, masz słuszność — odparła Stasia, nabierając otuchy. — Spróbuję się z nim widzieć. Jutro zaraz pójdę do fabryki, w której pracuje i wyznam wszystko. Pamiętam, że wtedy, kiedy odchodził od nas, powiedział mi, żebym się zgłosiła do niego, jeżeli kiedy potrzebować będę jego pomocy.

— No, widzisz! — zawołała Felka uradowana z myśli, która jej przyszła do głowy. Kto wie? Może on naprawdę przyjdzie ci z pomocą. W każdym razie spróbować możesz.

— Właściwie to rodzice jemu zawdzięczają dzisiejszy swój dobrobyt.

— Jakim sposobem? — zdziwił się Franek, bo znał Grodzickiego z jak najlepszej strony i wiedział, że do podobnych interesów, jakimi zajmował się Gawlik, tamten nigdyby ręki przyłożyć nie chciał.

— Wujek raz pomógł ojcu w zarobieniu większej sumy pieniężnej — odpowiedziała Stasia — i wtedy to ojciec porzucił swój zawód i...

Nie dokończyła i ciemny rumieniec wystąpił na jej twarz.

— Rozumiem cię Stasiu, rozumiem! — zawołała Felka, która zauważyła jej zmieszanie. — Wiem, jak ci nieprzyjemnie mówić o dzisiejszem zatrudnieniu twojego ojca. Ale ty przecież za to odpowiadać nie możesz. Bądź dobrej myśli, mam przeczucie, że wszystko się dobrze ułoży.

— Jeżeli będziesz mogła Stasiu, to wpadnij do nas jutro — prosił Franek. — Opowiesz nam rezultat twojej rozmowy z wujem. Przypuszczam, że teraz częściej zaglądać do nas będziesz — dodał, patrząc z prośbą w jej oczy.

— Tak — odparła Stasia stanowczo. — Teraz już żadne względy wstrzymywać mnie nie będą. Jeżeli chcę sobie wywalczyć to, do czego dążę, nic nie powinno mnie od tego odstraszyć. Wiem, że w domu będę mieć ciężkie chwile do przeniesienia, ale nie lękam się ich — uśmiechnęła się serdecznie do Franka, który ujęty jej słowami, pochwycił jej rękę, przyciskając z wdzięcznością do ust.

— Moja ty jedyna dziewczyno! — szepnął wzruszony. — Da Bóg wynagrodzę ci to wszystko.

— — — — — — — — — — —

Brama już była zamknięta, kiedy Stasia, odprowadzona przez Felkę i Franka, powróciła do domu.

Tak jak było umówione, zapukała dyskretnie z ganku do okna kuchni i Rózia prędko przyszła jej otworzyć, szepcząc już na progu:

— Nikt się nie domyśla, nikt nic nie wie. Wszyscy siedzą jeszcze przy kolacyi. Nawet Franciszek nie zauważył, że przyszłam panience otworzyć.

— Dziękuję ci, Róziu — odpowiedziała Stasia, wsuwając się ostrożnie do swego pokoju.

— Możeby panienka coś zjadła! — namawiała życzliwie Rózia, zdejmując z niej płaszczyk. — Nie dobrze z pustym żołądkiem kłaść się do łóżka.

— Dobrze Róziu — uśmiechnęła się Stasia. — Dobra - z ciebie dziewczyna. Przyniesiesz mi tylko herbaty i kawałek tortu. To zupełnie mi wystarczy.

W pół godziny później, Stasia, pocieszona widzeniem się z Frankiem i nadzieją, która znowu zabłysła przed nią, zasypiała spokojnie, śniąc najcudowniejsze marzenia.

— — — — — — — — — — — —

Na drugi dzień Stasia unikała cały dzień rozmowy z rodzicami i Kazią. Koło godziny piątej, nie mówiąc nic nikomu, wysunęła się z domu ostrożnie i pobiegła do fabryki, w której pracował Grodzicki. Wiedziała, że o tej godzinie zastanie go jeszcze przy pracy.

(Ciąg dalszy nastąpi).



— Cicho maleńka, cicho — szeptał pieszczotliwie. — Z takiem zapewnieniem i sto lat na ciebie czekać będę.

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłumaczenie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM I.

78

Dlaczego, tego dnia nagle, doznała wrażenia, że spoczywa na gorącem łonie Egiptu? Dlaczego, po raz pierwszy uczuła rzeczywiście czar tego kraju? Uczuła go w cieple, które ją pieściło, W miękkim piasku, który leżał pod jej stopami W słowach Hanzy, w jego postaci, jego oczach i milczeniu? Dlaczego? Czy dlaczego, że nie była w towarzystwie Nigla?

W dzień ich przybycia Nigel wskazał jej na Hanzę. Widywała go niekiedy, lecz do dzisiejszego dnia nie spojrzała na niego uważnie kobiecemi oczami, które umieją odróżnić i ocenić.

Hanza był typem wręcz przeciwnym niż Ibrahim. Był nadzwyczaj szczupły, prawie drobny, z cienkimi kośćmi, delikatnemi rękami i nogami, wąskimi ramionami, wąską głową i twarzą podobną do pięknego bronzu, poważną, cichą i skupioną — twarz, która zdawała się wszystko przyjmować, a nic absolutnie nie oddawać. Patrząc na niego Mrs. Armine przypomniała sobie określające go zdanie, które go wyodrębniało od innych mieszkańców Luksoru. Był „modlącym się poganiaczem osłów".

Dlaczego Ibrahim najął go na dzisiejszą wycieczkę? Nigdy im dawniej nie towarzyszył. Po cichu zadała Ibrahimowi to pytanie.

— On jest bardzo dobrym poganiaczem osłów, lecz nie dla my Lorda Armingel.

Mrs. Armine zapytywała się, dlaczego, lecz nie pytała więcej. Tego dnia czuła się w rękach Egiptu, a Hanza i Ibrahim byli jego częścią. Jeżeli miała najwięcej dzisiaj użyć, powinna pozostać bierną. I coś w niej mówiło, że we wszystkiem, co Ibrahim czynił, miał jakiś wyraźny cel. Pomógł jej wsiąść na osła. Na tym, na którym miał sam jechać, były przytwierdzone dwa duże koszyki. Delikatnie wyglądający Hanza, którego ciało było w rzeczywistości silne jak stal, będzie biegł za nimi — do nieskończoności, jeśli będzie trzeba — boso.

— Dokąd pojedziemy, Ibrahim?

— Pojedziemy tą drogą, my Lady.

Wydał głośne westchnienie, natychmiast osioł ruszył, a za nim podążyła Mrs. Armine. Szeroka rzeka pozostała w tyle; jechali w stronę nagich gór Libijskich. Ibrahim ciągle przodował, wskazując drogę. Spuścił turban na tył swej kędzierzawej głowy, trzymał się przechylony z wystającemi długiemi nogami, z których spadały skarpetki, ukazując brunatną skórę. Zaczął śpiewać cichym, monotonnym głosem, przerywając niekiedy głośnem westchnieniem, które pobudzało osła do biegu. Hanza biegł lekko za Mrs. Armine. Był biało ubrany i miał biały turban. W prawem ręku trzymał kawałek trzciny cukrowej. Trzymał się bardzo prosto biegnąc i twarz jego nie zmieniła wyrazu; oczy miał utkwione w Libijskie góry. Na płaskiej, szerokiej przestrzeni między Nilem a ruinami Teb, młode zboża rozlewały ostrą zieloność. Gdzieniegdzie miniaturowe laski donzy stały nieruchome w blasku słońca, nad łanami trzciny cukrowej śpiewały trzepocąc skrzydełkami skowronki. Pomimo, że to była zimą i Boże Narodzenie się zbliżało, łagodne powietrze zdawało się być przepełnione uśmiechami wiosny, unoszącej się nad Wschodnim krajem. Był to kraj młodego zachwytu, nie bezmyślnej, lecz łagodnie przejmującej radości. Wszystko, co żyło, śpiewało pieśń miłości bez wysiłku, gdyż wypływała ona z głębi serca, które nigdy nie doznało smutku.

— Rozkwitasz tutaj!

Nigel powiedział to Mrs. Armine, a ona przypomniała sobie te słowa teraz i czuła, że dzisiaj są prawdziwe.

Dokąd jedzie? Nie dbała o to. Jechała pod tem śpiewającem niebem, przez ten śpiewający kraj, a śród tego śpiewającego słonecznego światła. To wystarczało. Raz czy dwa spojrzała na Hanzę, a ponieważ on ani razu nie zwrócił na nią oczu, przemówiła do niego po angielsku, czyniąc jakąś uwagę o pogodzie. Podniósł głowę, utkwił w nią niewzruszone oczy, rzekł „Yes" i odwrócił się. Zadała mu pytanie, wymagające odpowiedzi: „No". Odrzekł znowu „Yes" nie patrząc na nią. Biegł jak ożywiony brązowy posąg, lekko, szybko, poważnie w stronę zabarwionych na tygrysi kolor gór. Było w Hanzie coś, co kazało Mrs. Armine zapytywać się dokąd jadą. Już zwiedziła ruiny na zachodnim brzegu Nilu; poznała Medinat-Hebu, Deir-al-Bahari, Kurna, Ramessum, królewskie groby. Dojechali do miejsca na południe Teb i zdawali się kierować do Medinat-Habu.

— Dokąd jedziemy Hanza?

„Yes" — odrzekł.

I biegł, trzymając swój kawałek trzciny cukrowej, jak jaka hieretyczna postać w procesyi z pochodnią w ręku. Ibrahim przerwał swą pieśń westchnieniem i lekko uderzył osła pod prawem uchem, zwracając go szybko na lewo.

W oddaleniu Mrs. Armine widziała wielką świątynię Medinat Habu, lecz nie ona była celem ich wycieczki. Pozostawili ją na prawo. Ibrahim znowu uderzył osła i pojechali szybkim tempem w stronę gór Libijskich. Gorąco się wzmagało w miarę jak zbliżało się południe, lecz ona o to nie dbała, życzyła sobie nawet, żeby upał stał się coraz większy. Widziała krople potu, występujące na żywym posągu, który biegł obok niej. Ibrahim przestał śpiewać. Czy zbliżająca się złota pora południowa miała rzucić urok na jego wargi?

Jechali dalej i dalej.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

— Oto miejsce na śniadanie my Lady.

Nareszcie Ibrahim zatrzymał osła, zsunął się z niego, trzymając swój dżelebich obiema brunatnemi rękami.

Hanza gwizdnął i osioł Mrs. Armine nagle stanął. Zsiadła z niego. Znalazła się, lub myślała, że się znajduje w samem sercu gór, w dzikiej miejscowości z brunatnemi i czerwono-żółtemi przepaściami, piętrzącemi się skałami, które wyglądały jakby płomienie skamieniałe pod wpływem jakiegoś okrutnego, tajemniczego uroku. Stojąc i rozglądając się w koło, czuła gorący grunt pod stopami. Pierwszem jej wrażeniem było silne podniecenie. To pustkowie podniecało ją, jak podnieca głośny, dziki, gwałtowny hałas. Przez chwilę stała, a pomimo, że tylko patrzała, zdawało się jej, że słucha — słucha krzyku twardości, gorąca, blasku, które ją otaczały.

Hanza położył swą trzcinę cukrową na rozpalonym gruncie i zdjął oba koszyki.

— Dlaczegoście mnie tutaj przywiedli?

Pytanie to było w myśli Mrs. Armine, lecz je nie wypowiedziała. Podniosła ręce, uchyliła welon i wystawiła swą „niepoprawioną sztukę" twarz na słońce, lecz tylko na chwilę. Spuściła welon i rzekła do Ibrahima:

„Musisz mi znaleść trochę cienia Ibrahim.

— My Lady proszę pójść za mną.

Stąpał wąską, stromą ścieżką, podobną do żółtej wstążki, spuszczonej ze słońca, a ona szła za nim, okrążając skałę, jakby rzuconą dla zamknięcia drogi, aż doszli do płaskiej, szerokiej krawędzi, nad którą wznosiły się góry. Długi i szeroki cień padał tutaj. Kiedy Mrs Armine nadeszła, wydała okrzyk.

Oparte o ścianę skał, leżały spiętrzone poduszki, a przed niemi leżał rozesłany wspaniały dywan. Na tem gorącem i dzikiem pustkowiu, widok tych przedmiotów, przywodzących na myśl zbytek i ludzi, zdziwił ją i nieledwie przeraził; spojrzała w koło i podniosła welon. Lecz widziała tylko połyskujące, żółte i czerwonawe skały, jaśniejący piasek pomiędzy niemi i przepaście, jakby ogniste kaskady. I znowu wydało jej się, że słyszy gorąco, twardość i blask, wołający na nią.

— Oto miejsce na śniadanie my Lady.

Ibrahim patrzał na rozesłany dywan.

— Ale... do kogo należą te rzeczy?

— Z pewnością są dla pani.

— Zostały tutaj złożone dla mnie?

— Z pewnością.

Wyglądał zawsze jak dobry, uprzejmy chłopiec. Mrs. Armine przez chwilę patrzała na niego pytająco, potem nagle zawróciła do skały, która zakrywała Hanzę i osły i spojrzała na ścieżkę, którą przyszli. Na ścieżce klęczał Hanza z głową przy ziemi, podniósł się z zamkniętemi oczami, szeptał i szeptał pacierze. Poczem schylił się znowu i przyłożył czoło do ziemi. Mrs. Armine cofnęła się. Nie wiedziała dlaczego, ale na chwilę zimno się jej zrobiło, wśród palącego skwaru słońca.

— Hanza się modli — rzekła do Ibrahima, który spał spokojnie obok dywanu.

— Pewnie — odrzekł. — Kiedy Hanza się zatrzymuje, zawsze się modli. Hanza jest bardzo dobry poganiacz osłów.

Mrs. Armine nie zadawała więcej pytań. Siadła na dywanie i oparła się o poduszki. Teraz, kiedy była zabezpieczoną od palących promieni słońca mog a jakby z teatralnej loży, napawać się gorejącą wspaniałością natury.

Ibrahim krzątał się w swej złocistej szacie, przynosząc pożywienie i wodę z sokiem cytrynowym, a kiedy wszystko zostało starannie przygotowane rzekł:

— Czy czegoś jeszcze brak, my Lady?

Mrs. Armine wstrząsnęła głową:

— Nie, Ibrahim, mam wszystko, czego mi potrzeba; bardzo mi tu dobrze.

— Wszystko, czego pani sobie życzy, musi mieć dzisiaj, my Lady.

Spojrzał na nią, odszedł i znikł za skałą. Wydało się jej, że dziwny wyraz, nie chłopięcy, lecz ostry i zmęczony błysnął i zgasł w jego oczach.

Pomału zjadła trochę pokarmu i wypiła wodę. Ibrahim nie wracał, nie słyszała jego głosu, ani głosu Hamzy. Wiedziała naturalnie, że obaj Egipcyanie są blisko niej za skałą; niemniej od kiedy nie mogła ich ani widzieć, ani słyszeć, czuła się jakby zupełnie samotną w górach. Wyciągnęła jedną poduszkę z za pleców i położyła na niej rękę. Wrażenie jedwabiu, pod dotknięciem jej palców, przeniosło ją znowu do wschodniego domu Barondiego. Skończywszy jeść, postawiła próżną szklankę na dywanie i zaczęła się dotykać poduszek. Czyniąc to, zdawało się jej, że widzi Hanzę ze swą piękną, surową twarzą, modlącego się na żółtej ścieżce.

Hanza, Ibrahim, Barondi, wszyscy trzej byli wschodniej krwi, wszyscy trzej tej samej wiary, z której łona wyszły słowa wypisane na Lonili: „Przeznaczenie każdego człowieka jest zawieszone u jego szyi". Każdego człowieka! Czy i kobiety? Co z jej własnem przeznaczeniem?

Otworzyła oczy i zobaczyła Barondi'ego, który stał, oparty o skałę i patrzał uważnie na nią.

Na chwilę nie wiedziała, czy była zdziwioną, czy nie. Rozsądek jej mówił, że nie może się spodziewać zobaczyć Barondi'ego tutaj, a jednak widziała, czuła z pewnością, że przyjdzie do tej ognistej pustki, żeby ją widzieć i być z nią sam na sam.

— Dziękuję bardzo za dywan i poduszki.

Nie, nie była zdziwioną. Barondi opuścił skałę i zbliżył się do niej poważnie, bez uśmiechu. Miał na sobie białe, płócienne ubranie, białe obuwie i biały turban.

— Puisque votre mari n'y est plus, parlons français.

— Comme vous vondrez — odrzekła.

Nie spytała się, dlaczego woli mówić po francusku. Bardzo mało „dlaczego" stało pomiędzy nią, a tym człowiekiem, którego ledwo znała.

Barondi stał wciąż na słońcu, a ona patrzała na niego wygodnie ze swego cienistego miejsca.

— Armant jest w tej stronie? — rzekła.

— Tego nie mówię, lecz jest niedaleko Fayum.

— Tak mało wiem o Egipcie. Proszę mi wybaczyć moją nieznajomość.

— Pani będzie wiedziała więcej o moim kraju — daleko więcej, niż inne angielki — kiedyś.

Mówił z prawie brutalną pewnością siebie, i zauważyła, że nie kończy zdań słowem „madame". Jego wielkie oczy, które w nią utkwił, patrzały na nią z góry wprost, jak oczy drapieżnego ptaka. Przenikały ją, lecz nie pozwalały przenikać siebie, wejść choćby trochę na terytorjum myśli i uczucia.

Przypomniała sobie oczy Meyera Iseacsona. One także były przenikliwe, prawie z okrucieństwem; lecz podczas gdy wskazywały na pracę jego umysłu, oczy Barondi'ego ukrywały czynność jego myśli, a natomiast badały i czytały w jej głębi. To niedopuszczanie do siebie, w połączeniu z moralnem jakby rabunkiem, tak wymownie egoistyczne, przedstawiało się jej jako niezwykłe poczucie jego siły. Przez lata całe panowała nad mężczyznami. Ten człowiek będzie panował nad nią. On wiedział o tem, wiedział o tem od pierwszej chwili, kiedy jego oczy na niej spoczęły. Czy to jego strona grecka, czy egipska ją zwyciężyła? praktyczna i energiczna? czy tajemnicza i fatalistyczna? Jak dotąd nie mogła powiedzieć. Może posiadał te obie przyczyny, dla jej podwójnej natury.

— Pan tak sądzi? — rzekła. — Wątpię. Nie wiadomo, czy spędzę drugą zimę w Egipcie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Powoli prawdzie, ale wielkimi krokami zbliża się koniec roku. Jeszcze dwa takie kroki tygodniowe, jak niniejszy, a zaświta nam Rok Nowy, o którym tyle wiadomo, że będzie zwyczajny, nie przestępny, czy jednak warunki się poprawią, to się dopiero pokaże w dalszym ciągu, właściwie zaś w zakończeniu, a tem będzie ostatnia kronika tygodniowa w roku 1921, w której Czytelnik znajdzie zestawienie dobrych i złych stron nieboszczyka. Kto zatem ciekawy, niech poczeka rok, a będzie miał wszystko czarne na białem i przekona się, czy go Andrzejowe „lanie" nie zawiodło. Czekanie to będzie zaś tem krótsze, że i rok przyszły jest o jeden dzień krótszy, ponadto obowiązuje u nas czas letni (abyśmy nie czuli braku węgli...), wobec czego prowadzimy życie przyspieszone o godzinę, co również musi wpłynąć na skrócenie czasu oczekiwania.

Jak należy wnosić z telegramów naszych pism politycznych, na Andrzeja ulała się przeważnie każdemu figa, co świadczy, że rok następny nie będzie się bynajmniej różnił od bieżącego, czyli, że kto klepał biedę dotąd, może być na to przygotowany i w dalszym ciągu.

Nie brak nadto i przepowiedni, na razie jeszcze nie stwierdzonych, o zbliżającym się końcu świata. A asumpt do tego dała... Liga Narodów, na oko chyba nic wspólnego z końcem świata nie mająca. A jednak ma!... Na początku świata był, wedle zapewnienia naocznych świadków, chaos, potem przystąpiono do budowy wieży Babel. Coś podobnego tylko w odmiennym porządku, ma uświetnić koniec świata. Wieżę Babel miniaturową już mamy w postaci Ligi Narodów, a chaosu, dzięki jej zarządzeniom z pewnością nie braknie. A Ligę Narodów nazwał wieżą Babel nikt inny, tylko kardynał Gaspari, zatem osoba urzędowa, mająca najbliższą styczność z końcem świata. Niechaj to przecież nie zniechęca pragnących zakupić „milionówkę" i spróbować szczęścia, lub zamierzających założyć własne gniazdko rodzinne. Tak prędko to nie nastąpi, świat ma zapewniony opał i oświetlenie jeszcze na jakieś lat kilkadziesiąt, a nie jest wykluczone, że tymczasem wynajdzie ktoś sztuczne słońce i możność obchodzenia się bez ciepła, do czego nas powoli przyzwyczaja Inspektorat węglowy. Przeciw bliskiemu końcowi świata przemawiają nadto postanowienia traktatu wersalskiego, który, wedle powziętych uchwał mocarstw Koalicyi, „musi być" w całości wykonany, aż do ostatniego punktu, a na to trzeba lat szeregu i dobrej woli Niemców, a tej dotąd nawet jeszcze śladów nie widać. Według zapisków współczesnych, od początku świata do rozpoczęcia budowy wieży Babel upłynęło tysiące lat (ludzie wtedy żyli daleko dłużej — taki Matuzal powiększył grono aniołków, przeżywszy z górą siedmset wiosen żywota), nie ulega zatem kwestyi, że i od powołania do życia Ligi Narodów, do prawdziwego, po kilkakrotnem odkładaniu terminu, końca świata, niemało jeszcze wody upłynie w Rudawie.

Bądźmy zatem dobrej myśli i zastanawiajmy się raczej nad tem, jak się godnie przygotować do Świąt, od których dzielą nas już zaledwie tylko dwa tygodnie, które powinny być w całości poświęcone zabiegom gospodarskim. W tym celu urzędnicy powinni otrzymać w tym czasie przymusowy urlop, z obowiązkiem oddania się pod rozkazy pani domu, ale też zarazem trzykrotną gażę miesięczną, aby sobie mogli osłodzić choćby sacharyną ten codzienny żywot.

Założeniem kronikarza było tydzień bieżący poświęcić Mikołajowi, następny przygotowaniom świątecznym, ostatnią zaś kroniką zamknąć rok bieżący, życzyć mu wiecznego spoczynku, a następcę przestrzedz, aby w jego ślady nie wstępował.

Trzymając się tego programu, należałoby zatem pochwalić się, co się dostało od św. Mikołaja. Niestety, i w tym roku o nas, przynajmniej niektórych, zapełnie zapomniał. W poniedziałek, dnia 6 grudnia, skoro świt (około dziewiątej...), sięgnął kronikarz pod poduszkę, zaglądnął pod łóżko, lecz nie znalazł tam nic więcej, prócz przedmiotów stale tam co noc mających pomieszczenie, jak chustka do nosa, pantofle i t. d.

Że w wojennym czasie św. Mikołaj stronił od nas, to łatwo się zrozumie, jeżeli się zważy, że na przybycie do Krakowa trzeba było mieć specyalne pozwolenie Komendy twierdzy, a ich wyrabianiem zajmowali się przeważnie żydzi. Trudno zaś wymagać, aby Święty miał mieć z synami Izraela jakieś konszachty. A bez tej ich „protekcyi" (za którą trzeba było zapłacić...) można było i dwa tygodnie stać w ogonku na ul. Poselskiej, zanim się dostąpiło szczęścia znalezienia się w drugim ogonku, ale już w sieni i na schodach budynku Komisaryatu fortecznego.

Z temi trudnościami dziś się liczyć nie potrzeba, można się zatem było spodziewać, że w roku 1920, możemy z całą stanowczością liczyć na odwiedziny i prezenty. Jeden ze znajomych kronikarza zostawił nawet z tego powodu na noc drzwi otwarte. Jakże się jednak zawiódł!... Św. Mikołaj go nie odwiedził, okradł go natomiast, korzystając z tego ułatwienia dostępu, jakiś rzezimieszek, który, nie mogąc się doczekać na prezenty w łóżku, wybrał się w poszukiwaniu za nimi.

Znalazły się przecież inne przeszkody, również bardzo poważne, jak o tem objaśnił kronikarza pewien bogobojny starzec, znający się nie tylko na teologii, ale i na polityce.

— Niech się pan nie dziwi — tak mówił — święty Mikołaj mógł przybyć wprawdzie w tym roku, ale chyba z próżnemi rękami, a to nie miałoby celu. Osoba św. Mikołaja tak ściśle jest połączona z podarkami, jakie od niego otrzymujemy, że poprostu bez nich nie potrafilibyśmy sobie go nawet wyobrazić...

— Cóż zatem było przyczyną?

— W pierwszym rzędzie czas. Wigilia św. Mikołaja wypadła tego roku na niedzielę, a chyba pan wie, że na podstawie uchwały Sejmowej nie śmie się nikt wtedy zajmować żadną pracą, aby nie gwałcić spoczynku niedzielnego. Poza tem i praca nocna, a urzędowanie św. Mikołaja właśnie na tę porę przypada, nie jest mile w Warszawie widzianą. Rząd obecny dość nieufnie spogląda na przedstawicieli sfer klerykalnych, podejrzywając je, iż mu kopią grób. Obdarowywanie ludzi mogło zatem bardzo łatwo być uważanem za kaptowanie sobie ich, przeciw Rządowi, a podobnego podejrzenia nie chciał na siebie ściągnąć św. Mikołaj, wogóle w politykę się nie bawiący. Nie brakło zresztą i innych przeszkód i trudności!...

— Naprzykład?...

— Naprzykład... zaopatrzenie się w podarki. Tu na miejscu zakupić ich nie mógł, gdyż nie wystarczyłyby mu fundusze na to przeznaczone. Ceny są straszne, a chyba trudno jednym coś dać, drugich zaś pominąć...

— Mógł zatem podarki przywieźć ze sobą św. Mikołaj z nieba!...

— Pewnie, że mógł, ale się przekonał, że się nie opłaci skórka za wyprawę i cło więcej wyniesie, niż wartość przedmiotów. Poza tem trzeba mieć pozwolenie na przywóz, a Warszawa zbyt się nie spieszy z wydawaniem tychże. Święty Mikołaj stale o nas pamięta, obiecał też, że, niech tylko usunięte będą obecne trudności, odwiedzi nas, może już w roku najbliższym i powetuje straty. Na razie trzeba się uzbroić w cierpliwość i czekać... A każdemu przyjdzie to tem łatwiej, iż na to nie potrzeba specyalnego pozwolenia na „noszenie broni"...

Pogodził się zatem kronikarz z losem i, dzięki wyjaśnieniom bogobojnego starca, nie ma pretensyi do św. Mikołaja, zwłaszcza, skoro obiecuje nam powetować straty, jakie ponieśliśmy... Kto wie, czy w roku przyszłym nie obdaruje nas tak szczodrze, jak Rząd naszych panów kamieniczników, dając im na otarcie łez krokodylich, tak zwane „dodatkowe świadczenia". Czeka też cierpliwie, bo i cóż mu innego pozostaje do zrobienia?... Rok nie taki znów długi, zwłaszcza, że nie brak różnorodnych urozmaiceń.

Takiem było naprzykład zwalenie się wierzchołka Mont Blanc, o czem doniósł „Kuryer". Alpejscy taternicy byli w kłopocie, bo i jakże się tu teraz wybierać na tę górę, gdy ona niema szczytu, a jego osiągnięcie stanowi cel pragnień każdego z „górołazów". Wierzchołek ten nie spadł jednak na dół, co było dowodem, że albo się nie urwał, albo gdzieś w drodze zatrzymał. Wysłano na miejsce specyalną komisyę, która stwierdziła, że szczyt stoi, tak jak był i nic mu nie brakuje, wobec czego ruch turystyczny w Alpy nie powinien nic na tem ucierpieć. Marki nasze stoją wprawdzie nisko, jeżeli jednak, mając je w kieszeni, wybierze się ktoś na szczyt Mont Blanc, *eo ipso* i one „pójdą w górę", jak to tylekroć zapowiadał p. minister Grabski, choć sam w to nie wierzył.

Dziś p. Grabski *procul negotiis* może się oddawać rozpamiętywaniom swej dotychczasowej działalności, mamy bowiem już jego następcę w osobie Dra Steczkowskiego, w samej rzeczy fachowca w dziedzinie skarbowości. Dzięki tej nominacyi zaczynamy nabierać lepszego wyobrażenia o obecnym Rządzie i jego poprzednikach, wyszukujących z taką predylekcyą same miernoty, jak gdyby ministrowie wstydzili się, że mają między sobą człowieka naprawdę znającego się na czemś. Dr Biliński nie utrzymał się długo, może szczęśliwszym będzie od niego Dr Steczkowski, który jednak jakoś nie bardzo dowierza, aby się jego misya powiodła, dzięki panującym w Warszawie stosunkom, skoro sobie zastrzegł powrót na dotychczas zajmowane stanowisko. Zastrzegł się wprawdzie bardzo szczegółowo, a Rząd te warunki przyjął, nikt jednak nie przewidzi, czy je wypełni. Dr Biliński też postawił warunki, przyjęto je, ale i na tem się skończyło. A warunki Dra Steczkowskiego są bardzo do tamtych podobne, mają na celu radykalną sanacyę naszych finansów i to w każdym kierunku.

Czy nam się Dr Steczkowski „ulał" na Andrzeja, czy mamy go uważać za podarunek od św. Mikołaja, w każdym razie stwierdzić się musi, że to nabytek bardzo cenny, należy go też strzedz, jak oka w głowie.

Pierwotnie zanosiło się na dymisyę całego gabinetu, co z pewnością nie byłoby w kraju wywołało zbyt wielkiego żalu i nie skłoniłoby nikogo do bezrobocia na znak protestu, jak to było swojego czasu z racyi ustąpienia ministra kolei, Dra Bartla. W szczególności pożegnalibyśmy się bardzo chętnie z panem ministrem aprowizacyi, dzięki któremu żołądki nasze kurczą się coraz bardziej, a niema nawet nadziei, aby sytuacya w tym kierunku miała się rychło poprawić.

Gdy Kraków był pod względem aprowizacyi zależny od Rady aprowizacyjnej dla Małopolski, było źle, ale pocieszano nas, że się to poprawi, gdy się dostaniemy wprost pod skrzydła opiekuńcze ministerstwa. I cieszyliśmy się nadzieją, zwłaszcza, że dyktatorem żywnościowym został mianowany dyrektor Krupiński, znający dobrze nasze stosunki. Ale skończyło się na nadziei, gdyż i dyktator nie pomoże, jeżeli pan minister nic nie da. Były, co prawda, ale tylko same krupy, bo magistrat karmił nas dłuższy czas samym pęczakiem, teraz dopiero zamieniając go na fasolę.

Aby się stosunki w tym dziale radykalnie poprawiły, należałoby się postarać, aby w skład Komisaryatu żywnościowego dla Krakowa weszli pp.: Chlebowski, Mączka, Masłowski, Smalec, Słonina, Mięsowicz, Mleczko, Maślankiewicz, Serkowski, Kapusta, Grochowski, Buraczyński, Ziemniakiewicz — sprawy opałowe należy oddać pp.: Węglarskiemu i Drewnowskiemu, wodne Wodzickiemu, Wiślańskiemu, tytoniowe Tabaczyńskiemu, odzieżowe Kubrakiewiczowi, Czapnickiemu i Butkiewiczowi i t. d., a ludność może raz już odetchnie, o ile nie przyzwyczai się tymczasem do obchodzenia się bez wszystkiego, co dotąd, według starych przesądów, było uważane za niezbędne do utrzymania życia.

Na razie, celem „poprawy sytuacyi", otrzymujemy dwa dni urzędowego postu od mięsa, w poniedziałki i piątki (potem przyjdzie kolej na środy i soboty i tak dalej, aż do zupełnego skasowania jedzenia...).

Wracają więc dawne austryackie praktyki oszczędnościowe i „naprawianie sytuacyi" kosztem naszych żołądków. Ciekawe tylko, jaką obecnie pokutę wyznaczy spowiednik gwałcicielowi postu urzędowego. Za ś. p. austryackich czasów kazał mu odmówić trzy razy *Boże wspieraj*..., obecnie, ze względu na to, że Polska ma być chłopską, a zbliża się okres kolend, każe mu odśpiewać za pokutę: *Przybieżeli do Warszawy pasterze*..., albo *Cztery lata wołkim pasał w tej tu dolinie*... Uporny grzesznik-recydywista, będzie musiał po rozgrzeszenie jechać do Warszawy i tam czekać na nie całymi miesiącami, a w świadectwach moralności przybędzie nowa rubryka: „pościł przykładnie".

Że rok 1920 będzie bardzo kiepski, o tem wiedzieliśmy z góry, gdyż zapowiedział to już swojego czasu amerykański dyktator żywnościowy, Hoover, że jednak będzie tak „pod psem", o tem nikt nawet nie przypuszczał. Łudziliśmy się zresztą nadzieją, że Hoover to nie papież, więc się może myli. Niestety, pokazało się, że się bynajmniej nie pomylił.

I aż serce boli, a żołądek się kurczy na samą myśl, jak wobec tych warunków wyglądać będą święta Bożego Narodzenia... Ale o tem lepiej nawet nie myśleć, aby sobie krwi nie psuć, zresztą tym sprawom ma być poświęcona następna kronika. Potomkowie nasi, czytając ją, będą płakać ze wzruszenia, dowiedziawszy się, ile musieliśmy cierpieć.

Wszystko się na nas sprzysięgło, nawet „milionówka". Zawadziła już o Warszawę i to aż dwa razy, o Poznań, Lwów, nawet i Częstochowę — Kraków stale omija!... A gdy na nas przyjdzie kolej i w pewną niedzielę wyczytamy, że wygrana padła na numer, wysłany do Krakowa, poniedziałek przyniesie rozczarowanie, gdyż pokaże się w rezultacie, iż numer ten... nie został sprzedany. Jeśli kogo los prześladuje, to już dokumentnie!

I, wobec tych wszystkich przeciwności, na jakie napotykamy na każdym kroku, ani dziwić się nie można, że „cywilny" Kraków zapomniał prawie zupełnie o dziewięćdziesiątej rocznicy powstania listopadowego. Podobno odłożono obchód na rocznicę stuletnią, jaka przypadnie za lat dziesięć i powołano już nawet do życia komitet, mający się zająć obmyśleniem programu. Rocznicę tę święciła obecnie tylko wojskowość, gdyż nasi ojcowie miasta mają głowy czem innem zajęte, wychodzą przytem z założenia, że „zadużo dwa grzyby w barszcz".

Zjazd Związku zawodowego pracowników kolejowych Rzeczyp. Polskiej.

W końcu listopada obradował we Lwowie przez cztery dni z rzędu III. Zjazd Związku zawodowego pracowników kolejowych Rzeczypospolitej Polskiej.

Na Zjazd przyjechali członkowie Centralnego Zarządu z Warszawy z inż. Kruszewskim na czele. Na dworcu oczekiwali gości reprezentanci zarządu miejscowego i okręgowego oraz liczne rzesze kolejarzy. Przybyłych witano owacyjnie, wznoszono okrzyki na ich cześć, zebrana zaś na peronie muzyka kolejowa odegrała kilka utworów.

Przez cały wtorek do późnej nocy trwały przygotowawcze obrady centr. Zaw. Zw. w lokalu przy ul. Gródeckiej 69. W środę przywiozły ranne pociągi ostatnich delegatów i dlatego odłożono otwarcie Zjazdu na godzinę 11 przed południem.

Zjazd rozmieścił się w odświętnie przystrojonej sali Sokoła II, przy ul. Szeptyckich. Salę zapełnili delegaci po brzegi. Z lwowskiej dyrekcyi kolei zjawili się prezes p. Barwicz i obaj zastępcy pp. Pawluszkiewicz i Nosowicz, oraz radca p. Błażek; z zarządu warsztatów radca Gajczak, z urzędu ruchu rew. Cisek.



Zjazd Związku zawodowego pracowników kolejowych Rzeczypospolitej Polskiej: Ustępujący Zarząd Związku.

Na przybranej zielenią scenie ustawiła się muzyka kolejowa Na trybunę wstąpił prezes Związku inż. Kruszewski z Warszawy i zagaił Zjazd krótkiemi słowy, poczem nastąpiły produkcye orkiestry lwowskich warsztatowców i chór lwowskich maszynistów. Następnie zabrał głos powtórnie prezes Kruszewski, witając przybyłych delegatów, przedstawicieli pokrewnych organizacyi kolejarskich. reprezentanta Rady miasta Lwowa i obecnych przedstawicieli dyrekcyi oraz władz kolejowych. Przy tej sposobności wskazał na poważny wzrost Związku, co się ujawnia we wzmożonej ilości delegatów, z których każdy reprezentuje 300 członków. Rozpoczęto dyskusyę nad przedłożonym przez C. Z. Z. regulaminem. Głosowano nad każdym punktem z osobna, po ewentualnem przemówieniu dwu mowców „pro“ i „contra“. Po dwugodzinnej dyskusyi przyjęto regulamin w całości z nieznacznemi poprawkami.

Przystąpiono do ukonstytuowania się prezydyum Zjazdu. Przewodniczącym wybrano Stanisława Grylewskiego z Krakowa, zastępcami przew. Naciskowskiego z Radomia, Piątka z Poznania, Kślińskiego z Białegostoku; sekretarzami: Maxamina ze Lwowa, Wróbla ze Stanisławowa, Rybę z Tarnowa i Kamińskiego z Łdz.

Do komisyi mandatowej weszli: Szyszka z Kołomyi, Schindler ze Lwowa, Kaizer z Wilna, Sokalik z Warszawy, Altmann z Poznania, Mąka z Radomia i Kurowski z Gdańska.

Nastąpiły przemówienia powitalne. Pierwszy wystąpił imieniem ministerstwa kolei prezes dyrekcyi Barwicz, który odczytał powitalną depeszę ministerstwa kolei.

Nastepnie prezes Barwicz przywitał Zjazd od lwowskiej Dyrekcyi i przedstawił radców Błażka i Waligórskiego, jako mających z urzędu uczestniczyć w obradach Zjazdu imieniem Dyrekcyi we Lwowie.

Z kolei przemówił reprezentant Dyrekcyi radomskiej, p. Ekert. Mowca zaakcentował znaczenie kolejarskich organizacyi zawodowych dla interesów kolejnictwa, porównał kolejarza do żołnierza, broniącego Ojczyzny i życzył Zjazdowi powodzenia w obradach. Okrzykiem: niech żyje Z. Z. K. zakończył przemówienie.

Dalej witali Zjazd imieniem centralnej partyi zawodowej p. Kwapiński, od Związku zaw. robotników i robotnic budowlanych Rybarski, w imieniu tramwajarzy Warszawy, Łodzi itd. Poliński, imieniem prezydyum Rady miasta Lwowa wiceprezydent Stahl, poczem przedstawiciel Z. Z. K. z Poznańskiego Lejmanowicz i przewodniczący Związku okręgowego we Lwowie Rossian.

Obrady rozpoczęły się po przerwie o godz. 17·30 od wyboru komisyi związkowej. W skład jej weszli: Zieliński z dyrekcyi warszawskiej, Mucek z krakowskiej, Gruszczyński z radomskiej, Rudnicki z lwowskiej, Żebrowski ze stanisławowskiej, Kaliciński z Wileńskiej, Kończewski z dojazdowych, Serafin z gdańskiej, Jankowski z poznańskiej.

Przyjęto porządek dzienny na popołudniowe obrady, poczem uchwalono dwa nagłe wnioski w sprawie wyrażenia Naczelnikowi Państwa Piłsudskiemu hołdu i czci za jego trudy około obrony Ojczyzny, oraz sejmowemu klubowi P. P. S. i sejmowej komisyi komunikacyjnej za dzielną obronę interesów pracowników kolejowych Rzeczypospolitej Polskiej i kolejarstwa wogóle.

Witany gromkimi oklaskami zjawił się następnie na trybunie poseł Hausner i omówił stosunki, panujące w sejmowej komisyi komunikacyjnej, gdzie interesy kolejnictwa nie znajdowały pierwotnie należytego zrozumienia. Dziś nastąpiła w tym kierunku radykalna zmiana. Dalszy ciąg przemówienia poświęcił poseł sprawom organizacyjnym i zakończył okrzykiem na cześć Zjazdu.

Dalszy ciąg czterodniowych obrad wypełniła nieraz bardzo namiętna dyskusya nad sprawami zawodowemi, obchodzącemi cały ogół polskich kolejarzy, przyczem ujawniły się wybitne różnice zapatrywań przedstawicieli rozmaitych kierunków politycznych.

Poseł Rajca powitał Zjazd imieniem sejmowej Komisyi komunikacyjnej oraz klubu Narodowej Partyi Robotniczej.



Zjazd Związku zawodowego pracowników kolejowych Rzeczypospolitej Polskiej: Delegaci biorący udział w Zjeździe.

W toku dalszych obrad przystąpiono do wyboru nowego przewodniczącego, ponieważ poprzednio wybranemu p. Grylowskiemu zarzucono brak umiejętnego kierowania obradami. Przewodniczącym wybrano wobec tego p. Piątka z Poznania.

Kwestyę unieważnionych mandatów oddano do rozpatrzenia delegacyi konfliktowej, poczem przystąpiono do dalszej dyskusyi nad sprawozdaniem, rezultatem której było uchwalenie votum zaufania Zarządowi Związku 232 głosami przeciw 44.

Poseł Moraczewski powitał Zjazd imieniem polskich posłów socyalistycznych. Omówił niedomagania organizacyi, broniąc P. P. S. przeciw zarzutom zdrady interesów proletaryatu.



Po przesileniu ministeryalnem: Dr inż. Wiesł. Chrzanowski b. minister dla handlu i przemysłu.

Przystąpienie do centralnej Komisyi zawodowej uchwalono ogromną większością głosów, jak również do Centrali oświatowej t. zw. „Kultury Robotniczej“ w Warszawie.

Równocześnie obradowały poszczególne Komisye zjazdowe i powzięły cały szereg bardzo ważnych rezolucyi.

Zjazd delegatów Związku zaw. pracowników kolejowych zakończył się 29 listopada b. r. o godzinie 11 w nocy. Do zarządu wybrano większość zwolenników P. P. S., komuniści ponieśli klęskę. Przewodniczącym Związku wybrany został Kruszewski, zastępcami Moraczewski, Michniewicz i Kuryłowicz.

Po przesileniu ministeryalnem.

Ostatnie przesilenie ministeryalne, które zdawało się grozić rozbiciem całego gabinetu koalicyjnego, a wraz z nim i z takim trudem stworzonej większości sejmowej, zakończyło się, jak o tem już w poprzednim numerze donieśliśmy, zmianą tylko na dwu ministeryalnych fotelach. Tekę skarbu objął po ministrze Władysławie Grabskim dr Jan Kanty Steczkowski, portfel handlu i przemysłu przeszedł z rąk dotychczasowego ministra dra inż. Wiesława Chrzanowskiego w ręce inżyniera Stefana Przanowskiego.

Dr inżynier Wiesław Chrzanowski urodzony w roku 1880 w Gruszczynie, w Wielkopolsce, szkoły średnie skończył w Rogoźnie, a politechnikę w Charlottenburgu. Oddał się działowi budowy maszyn i po odbyciu praktyki robotniczej w Niemczech i Czechach zajął w latach 1905—1906 stanowisko asystenta profesorów Riedlera i Stumpfa w Charlottenburgu. Od roku 1907 przechodzi na pole działania praktycznego, obejmując stanowisko konstruktora w fabrykach maszyn „Friedrich Wilhelmshuette“ w Müelheim nad tyle głośną dziś rzeką Ruhr w Nadrenii. Rok pracy inżynierskiej zwraca nań uwagę w świecie techniki niemieckiej, tak, że już w roku 1908 wielka fabryka maszyn „Prinz Rudolfs hnette“ w Duelmen w Westfalii powołuje dwudziestokilkoletniego Polaka na stanowisko naczelnego inżyniera. Cztery lata pracy na tem polu nie odrywają go jednak od działalności naukowej. Przez ten czas właśnie publikuje kilkanaście studyów. Zainteresowania dra inżyniera Chrzanowskiego nie ograniczają się zresztą do sfery bezpośrednio technologicznej. Zajmuje go historya techniki, której poświęca swe dzieło: „Charakterystyczne cechy rozwoju silników cieplikowych w XX wieku“, zajmuje go też strona wychowawcza nauki technicznej, o której mówi w rozprawach swoich: „Nowoczesne wykształcenie techniczne inżynierów budowy maszyn“ i „Praktyczne wykształcenie inżynierów budowy maszyn“. Całokształt jego umysłowy, połączenie daru naukowego z energią praktyki przeznaczały go na doskonałego wychowawcę przyszłych inżynierów. To też w roku 1912 politechnika lwowska powołuje go na zwyczajnego profesora i oddaje mu katedrę budowy motorów cieplikowych. Jest on wówczas najmłodszym profesorem zwyczajnym na politechnikach europejskich.

Od września ubiegłego roku objął dr Chrzanowski stanowisko profesora budowy silników parowych i obustronnie działających maszyn gazowych na politechnice warszawskiej, skąd go w lipcu b. r. powołano w skład gabinetu Władysława Grabskiego, oddając mu tekę handlu i przemysłu. Urząd ten piastował krótko, odznaczył się przecież gruntowną znajomością naszych stosunków przemysłowych i gorliwą ich opieką, ustąpienie też jego wywołało wielki żal w gronie tych, którzy patrzeli na jego działalność i umieli ją ocenić.



Poświęcenie kościoła w Dębnikach: Tłumy wiernych i honorowa asystencya wojskowa podczas uroczystości pośw. w dniu 5 grudnia b. r.

Poświęcenie kościoła w Dębnikach.

Jednym z aktów upamiętnienia powstania Wielkiego Krakowa miało być ufundowanie przez gminę kościoła, dla dzielnic leżących po prawym brzegu Wisły, t. j. Dębnik, Ludwinowa i Zakrzówka, sto sunkowo zbyt oddalonych od swego kościoła parafialnego w Podgórzu. Sprawa nie poszła w zapomnienie, uległa jednak pewnej zwłoce skutkiem wypadków wojennych. Powoli, ale skutecznie pracowano nad zrealizowaniem pięknej myśli. Gmina miasta Krakowa ofiarowała w tym celu plac pod budowę, ludność gmin przyłączonych i sąsiednich nie żałowała kosztów, a OO. Salezyanie, mający na Dębnikach swą rezydencyę, dokładali starań, aby zbożne dzieło doprowadzić do skutku. Stanął też na ofiarowanym gruncie drewniany kościół, mający służyć potrzebom duchowym miejscowej ludności, a zarazem stanowić pamiątkę ważnego w dziejach miasta Krakowa momentu, niemniej też i podziękowanie Panu Bogu za szczęśliwe ukończenie wojny, która choć zniszczyła nas materyalnie, przywróciła nam polityczną samodzielność.

Uroczystość poświęcenia nowego Domu Bożego pod wezwaniem św. Stanisława Kostki, odbyła się w niedzielę, dnia 5 grudnia b. r. Uroczystego aktu poświęcenia dokonał ks. biskup Sapieha, poczem X. prałat Krupiński celebrował sumę. Podczas Mszy św. chór kleryków ze zgromadzenia XX. Salezyanów i orkiestra wojskowa wykonały kilka produkcyi. — Po poświęceniu przemówił do zgromadzonych księżę biskup, dziękując zarówno prezydyum miasta za ofiarowany grunt na kościół, jak też OO. Salezyanom za ofiarną i żmudną pracę około wystawienia kościoła i wyrażając życzenie, by kościół ten stał się ośrodkiem życia prawdziwie katolickiego dla ludności mieszkającej w tej dzielnicy.

Na uroczystości byli obecni: prez. miasta, jenerałowie: Symon, Stiller, Piasecki, delegat Kowalikowski, komitet budowy i szereg zaproszonych obywateli Dębnik i Zakrzówka.



Z życia narodowego w Częstochowie: Korpus oficerski z komendantem pułkownikiem Elijasiewiczem, oraz przedstawiciele władz ze starostą Kühnem podczas defilady po obchodzie wolnościowym.

Z życia narodowego w Częstochowie.

W ślad za innemi miastami polskiemi obchodziła i Częstochowa bardzo uroczyście rocznicę listopadową i to tem serdeczniej, że podobne obchody były tam do niedawna nieznane, a jeśli je urządzano, to pokryjomu, narażając się na srogie kary ze strony władz rosyjskich. Dziś, gdy wolno się w nim udziału. Za austryackich rządów bywało wprawdzie zupełnie inaczej, ale czasy się zmieniły, a z czasami, wiadomo, zmieniają się ludzie i ich zapatrywania.

Uroczystość częstochowska, urządzona głównie dzięki staraniom komendanta tutejszej załogi pułkownika Ettjasiewicza wypadła nadwyraz wspaniale. Wzięły w niej udział tłumy ludu miejscowego i okolicznego, oraz liczne rzesze Ślązaków, które z powodu bliskości granicy bardzo chętnie odwiedzają cudowne miejsce. Podobny obchód wpływa bardzo dodatnio na podniesienie ich ducha narodowego i dodaje sił do dalszej walki z niemieckim grabieżcą.



Z życia narodowego w Częstochowie: Defilada garnizonu po uroczystości wolnościowej.

do tego przyznać otwarcie, że się jest Polakiem, manifestują też obywatele Częstochowy przy każdej nadarzającej się sposobności swe narodowe uczucia.

Tegoroczny obchód dziewięćdziesiątej rocznicy listopadowego powstania był właściwie uroczystością czysto militarną, wzięła w niem jednak żywy udział i ludność cywilna, dekorując swe domy flagami o barwach narodowych. Częstochowa, choć miasto prowincyonalne, zawstydziła w tym wypadku stołeczny Kraków, którego mieszkańcy wychodzą z założenia, że jeśli wojskowość urządza jakiś obchód, oni uwolnieni są od brania czynnego

Rano odprawiono uroczyste nabożeństwo przed cudownym obrazem w Jasnogórskim kościele, poczem odbyła się wobec korpusu oficerskiego, przedstawicieli władz i instytucyi oraz tysięcznych tłumów publiczności defilada załogi częstochowskiej. W defiladzie wzięły udział wszystkie gatunki broni oraz oddział państwowej policyi. Dzielnych żołnierzy witano owacyjnie, a ich marsowa postać pomimo młodocianego wieku budziła nadzieję, że bez obawy możemy oddać w ich ręce nasze losy. Jeśliby przyszło do tego, czego nie daj Boże, spełnią godnie swój obowiązek i wstąpią w ślady swych Ojców i Dziadów, których pamięć czcili w tym dniu uroczystym.



Po przesileniu ministeryalnem Inż. Stefan Przanowski nowy minister dla handlu i przemysłu.

Nadesłane.

Już wyszedł pierwszy zeszyt Biblioteki „Nowości" p. t. „Józia — legionistką".

W ostatnich czasach daje się u nas odczuwać silnie brak dobrych, popularnych książek które w formie beletrystycznych opowiadań przedstawiałyby barwnie i zajmująco wypadki współczesnego życia, tak bystrą obecnie toczących się falą. Żołnierz polski stał się ukochaniem społeczeństwa, ku niemu zwracają się wszystkie patryotycznie czujące serca. Każdy chciałby dowiedzieć się czegoś o tych żołnierzykach naszych, kodaj myślą złączyć się z nimi, przeczytać w jesienny czy zimowy wieczór coś o ich przygodach na froncie bojowym, na kwaterze, na urlopie, nanizać jasnej perły bohaterstwa na jedną nitkę z koralami czerwonemi jak róże miłości z błyszczącymi paciorkami żartu i humoru. Wydawnictwo „Biblioteka Nowości" ma wypełnić tę lukę, a chcąc dawać społeczeństwu rzeczy prawdziwie wartościowe, zaprosiło do współpracownictwa wybitne pióra autorskie. Jako pierwszy zeszyt ukaże się pełne wdzięku opowiadanie p. t.: „Józia — legionistką". Autorem tej noweli jest p. Adam Wzaryga-Miniewski, którego cykl powieści „Miłość i wojna", drukowany w *Nowościach Illustrowanych*, tak wielkie wzbudził zainteresowanie, a „Józia — legionistką" opowiada o dalszych losach sympatycznej bohaterki „Wojennego małżeństwa".

Cena egzempl. 15 mrk., z przes. poczt. 17 mrk. Zamówienia przyjmuje Administr. „Nowości Illustrowanych", Kraków XV, Kazimierza Wielkiego 95

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył J. M., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko polskiego poety:

■
– ■ –
– ■ –
– ■ –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – – ■ – – –
– – – ■ – – –
– – – ■ – – –

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Herb polski, 3. Owad, 4. Rzeka w Afryce, 5. Miasto w Czechach, 6. Wyspa n amorzu Śródziemnem, 7, Przyrząd sportowy, 8. Rozbójnik morski, 9. Ozdoba kobiety, 10. Słabość.

Okienko.

Ułożył X. Y., Kraków.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

a	a	b	c	e
e		e		e
f	l	l	o	o
r		r		s
s	n	n	y	y

Znaczenie wyrazów: 1. Utwór Mickiewicza, 2. Pieniądz, 3. Miejsce kąpielowe w Polsce.

Zgłoskówka.

Ułożył J. Kot, Rzeszów.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich jedno ze świąt narodowych polskich:

Narocz, Krynica, pocałunek, malina, Stochód, Zakopane, Radomyśl, Warszawa.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Maryan Bielski. Lwów.

Z podanych liter ułożyć tytuł polskiego utworu powieściowego:

M. I. Patek, Nancy.

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył Podróżnik z Krakowa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

a, c, d, e, ę, g, k, m, m, o, o, o, s, t, u, u, w, z.

REBUS.



Grzebieniówka.

Ułożył X. Y., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy utworzy nazwisko polskiego powieściopisarza:

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
– – – – – –
– – – – – –
– – – – – –

Znaczenie wyrazów: 1. Dopływ Wisły, 2. Egzotyczny władca, 3. Półwysep w Europie północnej, 4. Postać biblijna, 5. Wyżyna w Azyi, 6. Litera grecka.

Przysłowiówka.

Ułożył J. C., Kielce.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) - - - e - y a - e - - i e - o - e, - a - ę - o - y - a.
2) - a - a - - o - u - o - i o - - - e j.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) A. Gruszeckiego: „W c. k. Urzędzie“ (Powieść), 2) Paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 48.

Logogryf: B, Noe, Warta, oda, sen, brama, tur, x.

Grzebieniówka: Pola, o, liga, i, woda, a, nawa, o, wiek.

Przysłowiówka: 1) Każdy sobie rzepkę skrobie, 2) Każda Teresa ma swoje interesa.

Okienko: Rataj, Ferek, Jakób.

Trójkąt magiczny: Landru, Ateny, Nidc, Don, Ra, u

Kwadrat magiczny: Abel, Bela, Elio, Laon.

Zadanie do uzupełnienia: Wlazł kotek na płotek i mruga, śliczna to piosenka nie długa.

Zgłoskówka: Nie pomoże blansz ni róż, kiedy baba stara już.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: S. Kozłowski Kraków, M. Ogibińska Nowy Sącz, K. Dębiński Jasło, H. Kamocka Stanisławów, W. Witowska Warszawa, J. Nowak Sandomierz, J. Walicki Poznań, R. Cielicka Łódź, J. Martynowicz Kielce, J. Weber Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, W. Raczyński Kraków, S. Nowacki Lwów, M. Kotowicz Kraków, J. Jagodziński Nowy Sącz, J. Jabłoński Lublin, K. Lipski Wiedeń, S. Cichocki Jasło, S. Sokołowski Lwów, J. Jaworski Lwów, J. Martynowicz Lwów, H. Galińska Tarnów, M. Bodziński Kraków, M. Wacyk Lwów, M. Weryński Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, J. Wierzbicki Piotrków, K. Grzybowski Kraków. S. Zajączkowski Rzeszów. M. Waszkiewicz Lwów, K. Radziszewski Warszawa, H. Waligórski Tarnów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski Winnica, J. Jastrzębski Lwów, W. Dutkiewicz Przemyśl, M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, K. Grabski Jasło, J. Kalinowski Poznań, W. Śmiszkiewicz Milówka, S. Zabawski Kraków, M. Mańkowska Warszawa, S. Sygowska Rzeszów, K. Nowak Sambor, Z. Walkowski Rawa, M. Wysocka Jasło, S. Grabowski Wadowice, K. Lipski Wiedeń, W. Lange Toruń, S. Lesicki Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Gross Tarnów, M. Suchecki Warszawa, Z. Lewicki Kraków.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) H. Kamocka, Stanisławów (książka), 2) S. Zabawski Kraków (papier listowy). Upraszamy o nadesłanie 2 Mkp. 50 fen. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.